

Pod kościołem w Pratolinie Moskale strzelają do bezbronnych Unitów.

WYDAWNICTWO LUDOWE.

WYJĄTKI Z PODLASKIEGO

„Hospody pomyłuj"

OTTONÓWNEJ.

NAKŁADEM
Komitetu Wydawnictwa dzielek ludowych.
Odpowiedzialny redaktor: **Bronisław Sokalski.**
LWÓW 1910.

Z drukarni Szczepanego Bednarskiego we Lwowie, Rynek, L. 3.

Wstęp.

W r. 1908 wyszła w Krakowie książka p. t. Podlaskie „Hospody pomyłuj", pamiętnik prześladowania unitów na Podlasiu w latach 1872—1905, napisana przez naocznego świadka — Ottonównę. Z tej ciekawej książki podajemy czytelnikom naszym najważniejsze ustępy, z których można poznać dokładnie stosunki, wśród jakich żyje ludność unicka pod panowaniem rosyjskiem i jakich środków używa rząd moskiewski, by lud ruski zniewolić do schizmy czyli tak zwanego prawosławia.

Autorka, Ottonówna, rozpoczyna swój pamiętnik temi słowy:

Pamiętaj! Glebę Ci wydrzeć mogą... *Ducha*... bez zezwolenia Twego... nigdy.

Ziemia świętą bywa... to prawda — ale Bóg i Ojczyzna przed wszystkiem i nad wszystko, w sercu, w myśli i w woli człowieka się mieszczą.

Gdybyś kiedy o tem wątpić chciał, niech na wszelkie zwątpienie odpowie Ci... Podlasie!...

Dlaczego wydaję to streszczone dzieło doświadczeń moich zebranych na miejscu i spostrzeżeń długoletnich? Dlatego, że ludzkość prawo ma do prawdy, a męczennicy i wyznawcy do czci na ziemi, choć nagroda ich jest wyższą i nieskończoną; dlatego, aby dokładna znajomość przeszłości ostrzeżeniem i ochroną się stała dla mglistej i niepewnej przyszłości. Wreszcie niepodobna milczeć, gdy bolesny rozdźwięk między dwoma cierpiącymi, bratnimi narodami słowiańskimi w Galicyi spotęgował się do zgrzytu, do szczęku broni. To dla nas Polaków i Rusinów Podlaskich, tak dziwne, tak niezrozumiałe!...

Wśród tylu głosów, obustronnie tu podnoszących się dla wyliczania gorliwie krzywd,

win i błędów (prawdziwych, pozornych, urojonych lub wmawianych), zaostrzając i rozogniając waśń wyrodną... niechże jeden głos przemówi... inaczej, inaczej!

Wszak wszyscy ludzie dobrej wiary i dobrej woli musimy być zgodni w jednem ogólnem przekonaniu: świętą nad wszystko jest Prawda Boża czyli wiara, mistrzyni ducha i życia ludzkiego, podająca jedyne przyczyny rdzenne godności człowieka i wartości jego życia.

Świętszą niż jednostka jest rodzina, świętszym niż rodzina naród, świętszą niż narodowość ludzkość.

Lecz ludzkość winna szanować narodowości, narody winny opieką otaczać rodziny, rodzina winna starać się dla swych członków bez wyjątku o pełny rozwój, do jakiego jest zdolna każda pojedyncza indywidualność.

Gdyby na prawdę ziemia była zbyt szczupłą i zbyt ubogą, aby łączna praca inteligencyi serca i sił wszystkich jednostek mogła starczyć dla wydobycia z niej chleba, a w następstwach poszanowania i szczęścia dla każdego z jej dzieci, gdyby istotnie — jak twierdzą niektórzy materyaliści — ostatniem słowem przyszłości miała być dzika, niesprawiedliwa, bezwzględna, nienawistna walka o byt, gdyby chwałą a na-

wet powinnością samozachowawczą państw i narodów miało być samolubne i okrutne upokarzanie państw ościennych i zgnębianie narodów słabszych na wspólnej glebie zamieszkałych, taka ludzkość, złożona z takich ras i osobistości, nie zasługiwałaby na życie.

Narodów-chwastów do wyplenienia nie ma!

Każdy gatunek posiadający duszę ma prawo przyrodzone i nadprzyrodzone do miłości i do troskliwości ogółu.

Gdyby człowiek każdy — w myśl Ewangelii — nauczył się myśleć o drugim jak o samym sobie, zasługiwać na moralny kredyt, i otwierać kredyt moralny bliźniemu, gdyby stal oręża obrócił na lemiesz, wyższość zaś uprzywilejowanych umysłów bez lichwy kierowała wspólną pracą przeciętnego społeczeństwa wtedy łono matki ziemi stałoby się płodniejszem w ziarno, a duch i życie ludzkie w dobro!

Państwa zaborcze i ludzie twardego serca, wrogami są ludzkości.

Ale grzechu grzechem, ani gwałtu gwałtem nie wyplenisz!... Ziarna miłości i opamiętania na przyszłość krwawym przewrotem nie zasiejesz.

Wściekłość zbuntowanych, straszniejszych tyranów samej sobie narzuca, niźli ci, których wytępiła.

Jedynie łagodną a wytrwałą stanowczością może sprzymierzona łączność uciemiężonych wyleczyć winowajców z choroby wielkości i przemocy, z puchliny pychy i bezprawia.

Wilki, robactwo i kaniankę gubić wolno, ale ani rozwoju, ani samowiedzy, ani sumienia, ani poszczególnych a nieszkodliwych właściwości rasowych lub indywidualnych żadnego jestestwa słabego czy silnego obdarzonego duchem. Kto, sądząc po sobie, zaprzecza istnieniu duszy, sam na siebie wyrok wydaje — pierwszy jako szkodnik ginąć powinien, gdyż odejmuje wszelką wartość życiu, ogałacając je z możności wierzenia w jakikolwiek ideał.

Opatrzność w historyi stale się przejawia.

Zbrodnia nadużycia potęgi bywa niechybnie karaną, ale dzikie pogańskie narzędzia pomsty łamią się i kruszą nawzajem w chwili bezwiednego spełnienia posłannictwa swego.

Uchowaj nas Boże od kuszenia się na takie przeznaczenie!

Szowinizm nie jest patryotyzmem. Samochwalstwo i tajenie ran własnych nie jest ich uzdrowieniem. Jedynym zdrowym patryotyzmem jest żądać dla siebie tylko tego, co chętni jesteśmy przyznać i udzielić drugim. Zasada wyłącznego prawa siły brutalnej do bytu — na rzekomej podstawie istoty tej przewagi — jest rdzennie fałszywą, gdyż umysł jest siłą wyższą,

niż siła muszkularna, a dowodem tego przewaga człowieka nad wszelkiem najsilniejszem zwierzęciem; ale umysł, zbydlęcony samolubstwem i pychą, jest siłą ujemną i poślednią, organicznie ograniczoną, wobec umysłu, rządzonego poczuciem prawa, a natchnionego bezgranicznemi potrzebami wierzącej duszy. Ten spodziewać się może łaski i cudu w porządku harmonii Bożej, jak płuca liczyć mogą na powietrze, a wnętrzności na pokarm dla nich stworzony.

Kłamcą i szkodnikiem jest ten, kto mu chce tego zaprzeczyć, a krótkotrwałem zwycięstwo jego, gdyż: „Wiara góry przenosi", a Bóg czuwa!

. . . .

Polką jestem, a kocham Rusinów. Znałam ich na Podlasiu w ciągu długiego życia: Ruś, krasawicę łagodną, wdzięczną i cnotliwą; Ruś, bohaterską i męczeńską, wytrwałą i cierpliwą; Ruś pełną godności, szczodrobliwą i ofiarną, oddającą bez zastrzeżeń mienie, łzy i krew w zamian za wyższe dobra. Innej... ja nie znam. Zbyt ściśle się z nią zżyłam, aby módz kiedykolwiek i gdziekolwiek czego innego pragnąć niż tego, żeby wszędzie i zawsze taką była...

Wybaczcie mi, bracia moi, jeżeli w bolesnej chwili... z tem wyznaniem do Was się zwracam i w Imię Boże, w imię męczenników!

Wszak nie znam stosunków galicyjskich z blizka, nie winuję nikogo, mówię za siebie, odzywam się z błyskiem sympatyi i nadziei do rodaków najdroższego mi ludu, toć głos serca, przemawiający do serca, żadnej sprawie jeszcze nie zaszkodził, a nie jedną ranę duchową zagoił. Mówię do ludzi dobrej woli, których znajdziesz w łonie każdego narodu, a nawet do zapaleńców... zdolnych do uspokojenia. Nie przemawiam do agitatorów, ani do zdrajców, których również nie brak w żadnym narodzie! Do Polaków i do Rusinów zarówno, w imię tak długo ukrzyżowanego Podlasia wołam: czytajcie z uszanowaniem dzieje wyznawców siedleckiej gubernii przez 33 długie lata. I za niemi bardzo pokornie powtarzam — tak się nieraz modlili oni... za swych prześladowców: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom".

W czambuł winować naród cały za srom i grzech najgorszej jego cząstki — niepodobna. Między Rosyanami nawet, których rząd i czynownicy pastwili się nad Unią i pastwią się jeszcze nad nami, znajdziesz ludzi, sprzyjających nam tak dalece sercem i przekonaniem, że niektórzy położyli życie swe w ofierze za nas, jedni w powstaniu na polu bitwy, drudzy później... na szubienicy.

Chrystus Pan w ostatniej godzinie tak modlił się do Ojca: „Daruj im, gdyż nie wiedzą, co czynią!“

Popłyń więc rzeką krwi i łez, pieśnią błagalną na ustach ofiar całopalnych, mimo serc kamiennych i Judaszowych zmów, popłyń do stóp Tronu Najwyższego, biedna jękliwa opowieści najszczytniejszych dziejów wiary, na przełomie dwóch stuleci najskrajniejszej niewiary, zwątpienia i materyalizmu.

I.

Podlasie.

Płaszczyzna, pokryta przepaścistemi bagnami, przerznięta szerokimi, niedbale utrzymywanemi drogami, wzdłuż których ciągną się po bokach rzędy wysokich topoli.

Na piaskach rosną bory, a dalej łany i łąki blade a mizerne, wieczną powłoką oparu otulone. Mosty dziurawe, dużą wypukłą belką w pośrodku wzmocnione; szmer wiatraków, żegot żab, krakanie wron, klekot bocianów na marnych pastwiskach. Nad tem wszystkiem wznosi się szerokim widnokręgiem jasno-blade niebo, a dołem, jak daleko oko sięgnie: krzyże i krzyże . . .

Widzisz je na rozdrożach, na groblach, pod lasami, w ogrodach, przy folwarkach, nadto po wsiach przy każdej

drugiej chacie, które się ciągną długą wstęgą z obu stron błotnistego gościńca.

Chaty czyste, w węgły budowane, słomą kryte, stoją blizko siebie, jak gdyby chciały dać świadectwo sąsiedzkiej zgodzie i miłości swoich mieszkańców, tych długowłosych chłopów w bronzowych sukmanach, tych bosych dzieci o dużych rozmarzonych oczach. Smutek i cisza, jakaś niezwykła powaga okryła te wsie, łąki i pola, zasiane gęsto krzyżami, jak gdyby ciężka nędza odebrała ludziom wszelką chęć do radości, młodości, ziemskiego życia. Lecz nie, nie nędza nie bieda to sprawiła . . . U ludu tutejszego widoczny nawet pewien dobrobyt; nie brak kożuchów, płótna, sukna, przędziwa dużo, lnu konopi i wełny. Statków i sprzętów dość, do domu i do roli. Serwituty nie rozdzielone, więc i paszy i drzewa nie brak na pańskim gruncie, a pańszczyzny się już nie odrabia. Przeludnienia nie ma. Szmat spory ziemi i dobytku nie mało przyznano niedawno każdemu gospodarzowi.

Toż nie w nędzy leży przyczyna tej melancholii, tego smutku, tej niezwykłej, wprost zakonnej powagi. Przyczyną takiego stanu jest to, że lud tutejszy odcięty

od postępowej cywilizacyi naszych czasów, mało nawykły do szczęścia i używania, nawiedzany regularnie nieuniknionemi chorobami wiosny i jesieni, nieraz pozbawiony jedną epidemią całej dziatwy swojej, nieufny w lekarzy, bezbronny w obec klęsk losu, przekonany, że dola ludzka na ziemi jest krótkiem a ciężkiem przejściem tylko, stracił zupełnie nadzieję w możliwość polepszenia swej doli i szukał sił i otuchy w jedynem, od wieków znanym mu źródle ożywczem: w Kościele i wierze katolickiej.

A że treścią tej wiary: pokora, pokuta, czystość, powaga i umartwienie ciała, nic więc dziwnego, że cnoty te owładnęły całem życiem ludu podlaskiego, oderwały myśl jego od ziemskich rozrywek i zabaw, stały się mu sprzymierzeńcami do entuzyazmu religijnego, który go unosił, zadowalniał i takim czynił, jakim był.

Niezwykła pokora i ów prawie nadprzyrodzony spokój ludu podlaskiego omyliły rząd rosyjski, który, uważając siebie za dobrodzieja podlaskiego ludu, obdarowawszy go cudzą ziemią i zwolniwszy od zobowiązań wieczystej dzierżawy, zażądał od pokornych Podlasian

zmiany wiary, począł namawiać do schyzmy, do przejścia na prawosławie. Gdy zaś namowa przeszła w naleganie, potem w usiłowanie przymusu, lud podlaski stracił wdzięczność za materyalne dobrodziejstwa Rosyi, uważając je za zadatek żądanego przeniewierstwa i postanowił umrzeć raczej niż ustąpić.

Teraz, gdy lud podlaski w jednej chwili uczuł się zagrożonym zgubą duszy, utratą zbawienia i skarbów wiekuistych, zamąceniem nabytej prawdy i spokoju sumienia, zawrzał z oburzeniem i zwrócił się całem sercem po ratunek do swych dawnych panów, Polaków, do twardej ale ojcowskiej dłoni.

I wtedy rozpoczęła się ta krwawa i łzawa walka męczeńskiego Podlasia z barbarzyńską przemocą Rosyi, podczas której niemal w każdej rodzinie rozgrywały się rozdzierające sceny, szarpiące wszelkie zasady i węzły życia rodzinnego a miażdżące w pył po sybirskich traktach po lochach więziennych i nieświęconych grobach, tysiące istot myślących.

II.

Sylwuch Ruś.

Było to 13-go grudnia r. 1872. Odwilż po kilkudniowej śnieżycy. Wieś Hunna niknęła literalnie w głębinach czarnego wydeptanego błota. Południe. Mężczyźni flegmatycznie wyłaniali się ze stodół, gdzie cepami młócili nędzne żyto, z obórek gdzie nadawali trochę lichej paszy krowom; inni nadjeżdzali z lasu pańskiego na przesadnie naładowanych wozikach zbieraniny, każdy ciągniony przez mizerną zdyszaną szkapinę. Kilkunastu młodych wracało na obiad z podwórza pańskiego. Mało który zagwizdał lub zażartował, i to z cicha nieśmiało, ostrożnie. Dziewczęta leciały także do domu z oczyma spuszczonemi, szybko, nie oglądając się, nie wychylając noska z pod ciasno zakutanych chustek. Kobiety krzątały się koło rodzinnej misy.

W chałupie Sylwucha Rusia było najwidniej, najpiękniej, najporządniej. Uwolniony on został jeszcze od pańszczyzny przed laty, za wyjątkowe zasługi, położone u dawnych właścicieli. Dostał grunt za własność, większy od tego, jaki później rząd przeznaczył całorolnym gospodarzom. Umie on czytać, pisać, rachować — uczył się i więcej przy młodszym bracie dziedzica, który księdzem został i umarł w Rzymie; więc Ruś zna dokładnie różnice, zachodzące między Kościołem prawosławnym a katolickim i wie, że podobieństwo rytuału między schizmą grecką a grecką Unią katolicką nie stanowi jedności w dogmatach, tylko w formie zewnętrznej. On mądry, dobry, oczytany, przytem bogaty, przyjaciel panów, a jednak przyjaciel i braci swoich, ich nauczyciel, wzór, patryarcha, dziś więcej niż to wszystko: ich świętość, relikwia z dawnych czasów. Synowi oddał grunt i gospodarstwo, sam zaś mistyczny starzec o łagodnych rysach, w modlitwie pogrążony żyje, obcując więcej z Bogiem niż z ludźmi, występując rzadko, wtedy tylko, gdy wezwany do rady w ważnych kwestyach gminy lub w sporach pojedynczych gospodarzy. Siwiuteńki jak go-

łąb, ośmdziesięcioletni dziadek, bił się w r. 1831 przy boku swego pana — podróżował, pamięta wiele, pogrzebał więcej, a teraz na uwieńczenie życia, jak na ostatnią próbę, dano mu widzieć pokusę i prześladowanie swych braci. Na byłego wiarusa Ruś nie wygląda. Wyniosłe czoło, miękkie śnieżne kędziory w tył odgarnięte, błękitne, głębokie, zamglone oczy, niby wewnątrz własnej duszy wpatrzone, woskowo-blade lica, bez zmarszczek, wymizerowane, skulona wysoka postać, wyraz jakby roztargnienia, jakby wsłuchania w jakąś nieziemską rozmowę, nadają Rusiowi cechę ascety czy pokornego proroka, uciemiężonego plemienia raczej, niż żyjącego wpośród żyjących. Zda się nic nie wie, nie uważa, lecz niech się stanie cokolwiek, niech padnie słowo wymagające nagany lub objaśnienia, widać, że zmysły zewnętrznego człowieka, bezwiednie na godzinę potrzeby zebrały dźwięki i ruchy, bo z nienacka dziadek milczący się budzi — jasne źrenice rzucają płomienie, drżące, misternie rzeźbione wargi wydają słowa lapidarne, jędrne i mądre, nie przepomina niczego, snać nic nie uszło baczności jego: choć żyje jakoby nie żył, na wzór pochrystusowych apo-

stołów, karci, poucza, prostuje, trafia do celu całą potęgą duszy skupionej w jedną najdonioślejszą ideę.

Od dwóch lat ludzie zaczęli stronić od cerkwi. Coś się w niej źle dzieje — księża dziwne prawią nauki, dziwne głoszą ukazy. W miejscowościach pokątnych, gdzie wojska i kancelaryi niema, lud przeklął swoich pasterzy, wypędził, a klucze od domu Bożego odebrał. Gdzieindziej gromada przestała tylko chodzić na odmienne nabożeństwo, szczególniej tam, gdzie cerkwi brak. I tak z Hunnej wierni szli dawniej do cerkwi dalekiej w Pratolinie, to do swojej kaplicy dworskiej łacińskiej. Teraz niema co robić w Pratolinie, a co niedziela, gdy w pałacu dzwonią na Mszę księdza kapelana w Hunnej, strażak się zjawia u bramy ogrodowej, a natrętnym rozdaje szturchańce z admonicyą:

— A ty tu po co? Marsz do cerkwi. Czy ci żal butów na milę drogi?

Z początku wprawdzie przybiegała panienka i mówiła, że ten to posłaniec na pocztę, tamci znów ludzie, którzy wczoraj tygodniowej zapłaty nie otrzymali. Strażak czapkę zdjął, krzywił się, drapał głowę i puszczał. Ale od pół roku jest strażaków dwóch, a ten drugi z Bia-

łej przybyły nie dba o panienkę, ledwie czapki dotknie, a raz nawet powiedział:

— Niechno państwo się w to nie wdają, bo już nie jedną katolicką kaplicę zamknięto, jak było tego za wiele!

Panienka strasznie się zaczerwieniła i do bramy już nie wracała. Odtąd ludziska gromadzą się w dnie świąteczne u Rusia, słuchają jego czytania i tłumaczeń, modlą się za nim, a wieczorem schodzi się młodzież pod chałupę i spiewa chórem, a strażak jeszcze nic mówić nie śmie, tylko zapisuje coś ołówkiem w notesiku, patrzy z podełba i odchodzi.

Zewsząd dochodzą głuche wieści o biciach, karach, więzieniach, katowaniach; ale w Hunnej do tego jeszcze nie doszło. Wtedy właśnie dwóch włościan ze starszyzny wsi Gęsi powiatu radzyńskiego zabrano na indagacyę do Białej, aby za wszystkich Unitów podlaskich się wytłumaczyć. Archirej, popi, starali się rozumowaniem ich pokonać; lecz jeden z nich, Andrzej Kruszyński, okazał się tak biegłym w teologii (był to druh wojenny Rusia), przytaczał tak płynnie artykuły soborów i rokowania florenckie o rozłące kościołów, że go niezwłocznie odesłano, aby nie bałamucił drugiego.

Ten drugi, nazwiskiem Lisak, był prostakiem. Powiedli go do cerkwi pod strażą i przemocą pomazali czoło jego olejem, święconym przez schizmatyków. Gdy go następnie pop objaśnił, że ten obrządek uczynił go prawosławnym, Lisak znikł; po kilku godzinach zaś stanął napowrót w oczach archireja, blady zakrwawiony, z twarzą straszliwie od bólu skurczoną i z okropną raną na czole.

— Teraz już nie jestem i nigdy być nie mogę prawosławnym — rzekł z dumą — b o o b r a ł e m sobie brzytwą skórę z czoła.

Rzeczywiście od brwi do włosów miał wyrżnięty wydłużony kwadrat ciała, na głębokość kilku milimetrów. W szpitalu odratowano go z trudnością, gdyż rzucił w ogień, olejem skalany kawał skóry, a żywe mięso, nie pokryte groziło zakażeniem krwi.

. . . .

Dziś w chacie Rusia siedzą na ławach około wspólnej misy stary Sylwuch, syn jego już pięćdziesięcioletni Trochim, niemłoda gospodyni, żona Trochima i dzieci ich, piętnastoletni Wiktor, młodszy nieco Iwanek i córka najstarsza Fruzia. Biedna dziewczyna jest zaręczona, ale czeka

z zamążpójściem, aż będzie jakiś koniec z tym nieładem w cerkwiach. Pomodlili się i jedzą, skupieni, zadumani, jak to zwykle chłopi, wdzięczni za zapracowany posiłek, więc używający go z namaszczeniem. Nagle na błotnistym gościncu rozległ się hałas niezwykły: trzaskanie z batów, miękkie a głębokie stąpanie potężnych kopyt w grzęskiej mieliźnie, szczekanie przerażonych psów, gęganie uciekających band gęsi, pisk świń, brzęczenie kół i blaszek. Chłopcom oczy zabłysły, lecz nie śmieli się ruszyć. Trochim spojrzał na ojca i wstał, zbliżył się do okienka, potem dopadł do drzwi, otworzył, wychylił się za próg i patrzał.

— Kareta w kare konie zaprzężona, dwóch konnych żandarmów na przedzie! Stanęli... coś się Sergeja rozpytują... znów ruszyli... jadą... ach jakie świecidła z nich kapią!... Dalibóg!... Pan naczelnik się wychyla... Coś gada do stangreta.,. już są tuż, tuż... Jezus Marya!... Przy nas stanęli!!!

Nim skończył, już cała wylęgła rodzina przy nim stała z szeroko otwartemi oczyma. Stary sam jeden został w głębi chaty. Zbliżył się do wizerunku Matki Boskiej, malowanego na blasze, pod któ-

rym w szklaneczce była woda święcona. Umaczał palce, przeżegnał się i coś szeptał, a oczy i ręce podnosił do góry. Pod rozpiętą koszulą na chudej piersi błyszczał krzyżyk miedziany, czernił się szkaplerzyk karmelitański, wił się długi różaniec o wytartych do połowy brunatnych ziarnkach. Ruś modlił się jeszcze, gdy już „Naczalnik“ był w izbie. Długa sztywna kibić jego zgięła się z przesadnym niesmakiem w nizkich drzwiach, usta się jednak w uśmiech składały, któremu zadawało kłam złowrogie siwych ócz spojrzenie. Z chłopami mówił on zazwyczaj systemem rosyjskim: krótko, szorstko, donośnie — niby z bardzo wysoka, jak człowiek mówi do psa, kiedy chce być słuchanym. Dziś przeciwnie — było w nim coś szczególnego, coś w rodzaju zakłopotania, prawie przymilenia, gdy się zbliżył do starca głęboko przed nim pochylonego.

Mam do was interes ojczulku — rzekł tonem uprzejmym — lecz chcę pomówić z wami sam na sam!

Tu natura i przyzwyczajenie wzięły górę nad napiętą wolą, zwrócił się nagle do zagapionej rodziny, machnął ręką i wypuścił brutalne „won!“, które wypło-

szyło biedaków jak stado wróbli na dwór. Zamknęli drzwi za sobą i poszli oglądać z daleka karetę i konie; kobieta tylko podsunęła się do żandarmów, usiłując dowiedzieć się od nich, czego to naczelnik chcą. Milczkiem najechana, odskoczyła, poprzestając na żałosnem stękaniu.

Tymczasem w chałupie stary podał naczelnikowi jedyne krzesło, przeznaczone na odwiedziny państwa i pochodzące ze dworu. Lecz pułkownik krzesła nie przyjął, zbliżył się do Sylwucha, położył mu rękę na ramieniu i tak do niego przemówił:

— Słuchajcie ojcze! Ja wiem, że z was mądry i uczony chłop, i religiant, i że macie wasze sumienie i zrozumienie nie tak jak to bydło co krzyczy; „My katoliki! my nie chcemy być russcy“ a nie wiedzą nawet co to znaczy. To też ja was, człowieku, nie będę nigdy, nigdy zmuszać do zmiany; słowem wam za to ręczę, że do waszej śmierci pozostaniecie według waszego wierzenia... Ale zważajcie ino trochę co się dzieje: Najjaśniejszy Pan chce, żeby wasze plemię do niego całkiem należało i duszą, i ciałem, tak jak my. Najjaśniejszy car jest panem połowy świata i wszystkie inne narody

są jak pchły obok jego państwa. Chciał mieć Polskę i ma, i co zechce mieć będzie, bo on silny i pan, i Bóg z nim trzyma — a wy garstka głupich ludzi giniecie nie wiadomo dlaczego, bo żaden nawet nie wie, czego chce w swojej wierze, a czego nie chce w naszej; i za to tracą gospodarstwa i dobytek, dzieci i siebie. Przecież zrozumieć możecie, że carowi przykro, żeby jego poddani gdzieś tam jakiegoś papieża w Rzymie słuchali, który nawet o nich nie wie, kiedy on jest waszym ojcem i papieżem! Słuchajcie!... Tam się w Pratolinie głupstwo stało. Jak wiecie, tamten ksiądz, cośmy go za upór do kozy wzięli, uciekł do Austryi i opuścił was biedne owieczki, jak ten wilk do lasu, nie jak pasterz żaden! Więc przywiozłem wam księdza, jakiegoście nawet jeszcze nigdy nie widzieli. Czysty święty, mówię wam! Taki duży, piękny, z długą brodą i włosami, jak malowanie! A te durnie klucz od cerkwi zabrali i nie chcą dać! Posłałem po ślusarza... obstąpili cerkiew i ani majstra, ani księdza, ani mnie puścić nie chcą!

Na to — straszne a świeżutkie wspomnienie krew gbura-tyrana zawrzała w wojskowym czynowniku. Posiniał, wnet zbladł

i wbrew własnej woli, zaryczał w dzikiej zawziętej furyi:

— Słyszysz? te huncwoty, te waryaty, te psy tam stoją i mnie, mnie do rana nie puszczają, mówiąc, że tam jest Sakrament i że go katolicki ksiądz zabrać musi! Słyszałeś ty co podobnego? Łajdaki! Oni chcą, żebym ich do ostatniego powystrzelał jak psów! Łotry! Nędzne liche szelmy! Ja im pokażę, co to znaczy mnie opór stawić — kto? Chamy! Ścierwa! Za kogo oni mnie mają?!!!

Opluwał się i dławił, z nerwowego rozdrażnienia brzydko się krzywił, kociemi źrenicami błyskał, a wszelka dystynkcya światowca w tej chwili go opuściła.

Nagle się opamiętał i dodał spokojniejszym już głosem:

— Posłałem po wojsko, ale żal mi ludzi. Wolałbym ich nawrócić, niż rozstrzelać. Mówił mi porucznik Kobryńskij, że ty masz wpływ nad nimi, że jak ty im co powiesz, to cię posłuchają — więc przyjechałem po ciebie, żebyś ich ratował. Powiedz im u dyabła, że pan nasz jest mocniejszy od nich, że im będzie rad, że ich obsypie łaskami, że im da więcej gruntu, niż już dał, byle mu byli wierni, że będą mieć opiekę rządu, bezpłatne wychowanie dzieci, pierwszeństwo wszędzie

i do wójtowstwa i do cerkwi, i do serwitutów — że wyjdą na ludzi! A na to, co oni wiedzą o religii, to nie mają co się spierać; bo jeżeli ich ojcowie byli Uniaty, to ich dziadkowie byli prawosławni; a jeżeli wy macie posty i modlitwy, i cudowne obrazy, to my ich mamy więcej! A pierwsze posłuszeństwo, niż nabożeństwo — więc jak będą słuchać monarchy, to i Bogu się spodobają; a jak nie, to zginą! Jak Bóg na niebie, że marnie zginą, a my ich dzieci wyhodujemy tak, jak nam się spodoba, bez nich! Słyszysz? Powiesz im to? Chcesz mieć zasługę u Pana Boga i życie braci ocalić, i dusze ich, że nie zmuszą nas do krwi rozlewu?... A zresztą — dodał ciszej — co oni tam sobie w sercu będą wierzyć, to nam wszystko jedno. Pojmujesz? Powiedz im to! Aby tylko nam oddali posłuszeństwo i chodzili do cerkwi jak Bóg przykazał, to nam dosyć! A ty, już stary i mądry, to co innego! Ciebie my zostawimy w spokoju jak szlachcica... Chodź nie chodź do kościoła, byleś tamtych duraków namówił, będzie dobrze! Co?

Stary był bledszy niż zwykle i dygotał jak w febrze, a pot kroplisty występował mu na czole, lecz wydłużona

twarz martwa, ostro zarysowana twarz jego żadnego nie zdradzała wrażenia. Milczał długo, zwróciwszy oczy błagalne i zamglone do wizerunku Matki Najświętszej.

Naczelnik przestępował z nogi na nogę, gryząc paznogcie...

I będziecie ich rozstrzelać, panoczku — nareszcie wyjąknął chłop żałośliwie, ale stłumionym głosem.

Baron zaklął:

— Aboż nie?!! I tak jestem dobry, że jeszcze się tu pofatygowałem, żeby sukinsyny oszczędzić!

Ruś dumał i dumał. Czoło w ręce ukrył, kiwał się i chodził, palce łamał, jakby pod wpływem fizycznego bólu, a ciągle załzawiony wzrok zawracał od zajadłego okrutnika do Niepokalanej Panienki.

Naczelnik drżał z hamowanego rozdrażnienia. Zagryzał usta, wydymał nozdrza; już, już miał wrzasnąć szpetne przekleństwo i wylecieć z izby, już, już zaglądała niespokojnie w okienko synowa z chłopcami, gdy nagle starzec przystanął, wyprostował się tak, iż zdał się dotykać pułapu siwiuteńką głową i rzekł:

— Pójdę panie, powiem!

Wtedy pułkownik, opadnięty jakimś dzikiem rozczuleniem, chciał mu się nieomal rzucić na szyję, czując się zwolnionym od nieco gnębiącej alternatywy ustępstwa lub mordu. Starzec cofnął się i pochylił mu zimno do ramienia. W milczeniu znikł na chwilę do alkierza, skąd wrócił w odświętnej sukmanie, świeżych butach i z baranią czapką w ręku. Przeszli obaj wśród zdumionej i oniemiałej rodziny, dokoła której się zbiegła gromadka wylękłych sąsiadów. Stary chciał wdrapywać się na kozioł, lecz baron szarpnął go za ramię i wciągnął do karety mówiąc ostro:

— Aby lepiej szanowali słowa twoje!

Trochim cisnął się za rodzicem, wołając:

— Jasny panie! O la Boga rety!... Co wy z ojcem naszym robicie?

Synowa lamentowała, czepiając się błyszczącej klamki; lecz żandarmi najechali ich brutalnie jak pierwej, odtrącili piersią i łbami końskiemi, odcinając bezpowrotnie od pojazdu. Drzwiczki zatrzaśnięto. Kare rysaki ruszyły z kopyta z wielkim brzękiem blaszek i trzaskaniem z batów. Żandarmi spięli rumaki, doganiając i przeganiając karetę; jęk trwogi,

potem płacz głośny rozległ się przed cha tą: „O Jezu, Jezu co to będzie?“ — biadał Trochim, chwytając się oburącz bezwładnie za głowę; a mały, bosy Wiktor, w koszulinę i majtki z lnianego samodziału odziany, nie pytając, co z tego będzie, jak pies za odjeżdzającymi się puścił w cwał w ten zimny dzień grudniowy; padał, grzebał się, zrywał, pełzał po ziemi jak waryat, sapiąc, krew z nosa płynącą w biegu rękawem ocierając, wreszcie, gdy miał już przeklęty powóz z oczu stracić, a spostrzegł się, że stangret skręcił na szosę pratolińską, zawył dziko, zmienił kierunek, na przełaj łąki przeciął, skracając sobie drogi, a tak gonił, gonił i harował za dziadkiem aż do dalekiego Pratolina, do którego zdążył na wpół omdlały, niedługo po rysakach pana naczelnika.

III.

Rzeź w Pratolinie.

Kościółek na wzgórzu, przed nim plac. Na placu ciasno zbita, ponura, bezbronna kupa ludzi, o brunatnych siermięgach, o długich płowych włosach i przerażonych jasnych oczach. Cisną się do zamkniętych wrót kościółka. Niektórzy klęczą i modlą się, inni podejrzliwie zaglądają, czy druga, mniejsza, lecz bardziej jeszcze zwarta garstka ludzi przy drzwiach zakrystyi nie dała się obejść.

Tłum prawie przeważnie się składa z mężczyzn wszelkiego wieku, nie wyłączając wyrostków i starców. Gdzieniegdzie jednak kobieta tuli się do „swego“, a z tyłu kilkoro piskląt z płaczem się wiesza u jej spódnic.

Słońce już miało się ku wczesnemu grudniowemu zachodowi, trawy i błota

sztywniały pod idącym z nocą mrozem; bokiem czerwona łuna wypogodzonego horyzontu oświecała jaskrawo blade twarze i zapalała iskry wzdłuż żółtych guzików u ciemno-zielonych mundurów. Naprzeciw tłoku z gołemi rękami warujących włościan, stał mur wojska, z najeżonemi bagnetami. Oficerowie silnie znudzeni wałęsali się na uboczu, coś szemrząc po cichu między sobą, paląc ukradkiem papierosy, tupiąc w ziemię skostniałemi nogami i wyglądając niecierpliwie czegoś w dali.

Kilku kozaków i żandarmów konnych uzupełniało ten obraz. Na progu dawnej opustoszałej plebanii, u stóp pagórka, stał zmarszczony, zdenerwowany pop, o długiej sukni, długich włosach, długiej brodzie i powłóczystych rękawach. Z nim rozmawiał po rosyjsku ślusarz, katolik łacinnik, podła fizyognomia i podła dusza, prosto z kryminału zawrócona. W ręku miał ścierkę pełną wytrychów i rozmaitych ostrych narzędzi.

— Jadą! jadą! — wrzasnął któryś z konnych kozaków.

W tej chwili oficerowie rzucili papierosy, prostując się i stając każdy na swym posterunku z pałaszem w ręku.

Orłowskie ogiery zamaszystym kłusem i zgrabnym łukiem wpadłszy na wzgórze, stanęły osadzone na miejscu między gromadą a wojskiem. Ordynans nie zdołał przyskoczyć do drzwiczek, gdy wypadł z nich rozpromieniony pułkownik i szerokim ruchem wskazując karetę, z której powoli wysuwał się staruszek, zawołał na ludzi:

— No dzieci! patrzajcie, jakim dobry. Zamiast was śmiercią karać, jak się wam za bunt należało, pojechałem sam do waszego bat'ka. Mówiliście, że co on wam powie, wy zrobicie. Otóż macie go! Słuchajcie co wam każe! Ja nic więcej nie żądam niż on, bo on mądry i rozumie lepiej od was czego Bóg chce i Najjaśniejszy Pan!

Kareta odjechała.

Ogromne milczenie zapanowało — straszne, urocze jak cisza przed burzą, jak przerwa między wydaniem a przeczytaniem wyroku.

Ruś, blady na twarzy okolony białemi włosami, stał opromieniony ostatnim tryumfalnym blaskiem ognistej kuli słonecznej, chylącej się ku zachodowi. Ręce miał złożone, oczy wzniesione do głębokiego nieba — a to niebo było nad nim

błękitne i niezmiernie przeźroczyste, potem wpadało w tęczowe odmiany, zielonkawo-żółte, liliowo-purpurowe, a dusza snać z piersi mu się wyrywała, bieżąc do tych świetlanych głębi, a krzyż na kościelnej wieżyczce przed nim ostro się rysował na tle bezdennego lazuru, jak surowy rys obowiązku na bezdennem tle obietnic niebieskich.

Lud, chwilowo zachwiany słowami naczelnika, spojrzał tylko na postać zamodlonego starca Serafina i odzyskał pewność niezamąconą.

Chłopi wstrzymali oddech z obawy, by ojciec zbyt słabym głosem nie przemówił do nich i żeby czego nie stracili z nauki jego. Wstrzymali oddech żołnierze, sami nie wiedząc dlaczego, może w przeczuciu, że im lada chwila jakiś rozkaz danym będzie.

I baron milczał, tamując oddech; naraz zaniepokojony dziwną postacią Rusia, która nawet jego tygrysiej duszy stawała się przejrzystą w tej sekundzie, nie wątpiąc jednak o własnym rozumie i wysokim wpływie, otrząsnął się z przywidzenia i ruszył z lekka ramionami, tłómacząc sobie, że Sylwuch, spełniając święty akt ocalenia w tym momencie, słusznie robi,

że się modli, by lud skorzystał z namowy jego i poddał się carowi.

Uroczysty i silny rozległ się srebrny głos staruszka, gdy nareszcie przemówił, przeżegnawszy się pobożnie:

— Bracia, dzieci, sąsiady i kumy moje! Przyszedłem na żądanie Jaśnie Wielmożnego Pana Naczelnika, by powtórzyć wam słowa jego, które on powiedzieć mi raczył, a które są prawdziwe!

Tu pułkownik zacisnął dłonie z zadowolenia i rzucił zwycięsko-ironiczne spojrzenie ku oficerom.

Lud słuchał trochę natężony, jakby przelotne ździwienie i troska musnęły czoła słuchających.

— Pan Naczelnik mówi, i to jest prawdą — powtórzył starzec — że Najjaśniejszy Car jest mocniejszy od wszystkich ludzi, od panów i od księży naszych, od dawnych królów polskich, od was i od dzieci waszych; że mocen jest i chętny wam dać wszelkie wygody i dobra ziemskie, jeżeli mu dusze wasze oddacie w pańszczyznę, a zaprzecie się wiary ojców waszych. Mówi też Pan Naczelnik — i to jest prawda — że jeźli tego nie zrobicie, to pójdziecie na śmierć i na Sybir, ojcowizna wasza na zmarnowanie, a dzieci

wasze na chowanie i pomstę u prawosławnych; że wielu katolików nawet o was nie wie i wiedzieć nie chce, albo nie może, więc pomocy od ludzi daremnie wam oczekiwać, tak, iż potomstwo wasze nie odziedziczy nawet wiary, za którą zginiecie.

Chłopom oczy dziką rozpaczą się rozbłysły, patrzyli po sobie osłupieni w niemym bólu rękami rzucając, jakby nie chcieli własnym uszom wierzyć, że ich ojciec zdradza.

Baron aż się trząsł z wewnętrznego śmiechu szatańskiej radości. Ruś bardzo spokojny ciągnął dalej:

Powiedziałem wam, co mówi Pan Naczelnik i co jest prawdą. A teraz powiem od siebie to, co jest prawdą także i prawdą większą nad wszystkie. Ja dziś jedną nogą w grobie stojąc nad brzegiem wieczności, gdzie przyjdzie mi zdać sprawę z sumienia mojego wobec Stwórcy wszechrzeczy, powiadam wam, że życie jest krótkie, a wieczność bez końca, że car mocniejszy od ludzi, a Bóg od cara, że Chrystus umarł za nas na krzyżu, więc nam także warto dla niego umierać, że kto raz poznał wiarę prawdziwą, która z Boga jest, a dla bojaźni ludzkiej

zaprzedałby się zakonowi, w który nie wierzy...

Tu pułkownik chwilowo odrętwiały z oburzenia, ryknął:

— Milcz! i skoczył do starca, bijąc, szarpiąc, usiłując osobiście zagłuszyć słowa jego — lecz ten, dziwną siłą ogarnięty, przytrzymał na minutę ręce Naczelnika i podnosząc głos, dokończył:

Ten byłby zdrajcą i perekińcem, hańbą swojego rodu, mordercą duszy swojej i swych dzieci. A dzieci wiernych wytrwają mimo pokus, bo im łaska Boża będzie matką i ojcem, jak była pierwszym chrześcijanom!

Wyrwał się naczelnik spieniony z rąk omdlewającego starca, jasny włos stanął mu jeżem na głowie, dobył z kieszeni rewolwer, przyłożył do czoła Rusia i... wypalił.

Po strzale Sylwuch stał przez chwilę jak w zawieszeniu, ramiona miał rozkrzyżowane, twarz białą jak chusta, w konającym blasku zachodnim kąpaną, a po niej spływały krople krwi od skroni. Nagle bez jęku osunął się na ziemię, a lud na kolanach, wśród głośnego łkania kobiet i dzieci, wołał:

— Nie damy się! — nie damy!... Umrzemy z nim — umrzemy!... Bóg z nami!... Bóg utajony tu, w Przenajświętszym Sakramencie! Nigdy, nigdy kościoła nie oddamy! Wiary się nie zaprzemy!

. . . .

— Z drogi!... Ruszajcie!... — kipiał Naczelnik. — Uciekajcie do czorta, bo każę strzelać!... Won psy!... Mówię wam, won z przed świątyni!

W tem sygnaturka dworskiej kaplicy z łona zacisznego parku poczęła dzwonić na Anioł Pański, a lud klęczący złamanym głosem, niby falą wezbraną jękliwego morza, zaśpiewał z całej głębi zbiorowej męczeńskiej duszy:

Bogarodzica Dziewica, Bogiem sławiona
Maryja, u Twego Syna hospodyna
Matko zwolona
Maryja ziści nam, spuści nam,
Kyrie elejson Twego Syna
Chrzciciela zbożny czas...

Naczelnik skoczył w bok, skoczył w tył:

— Drugi raz wzywam was, rozejdźcie się — wrzeszczał — bo spadnie na was krew wasza i dzieci waszych.

A zwracając się do wojska, dodał:

— Za broń!

Ale lud ani słuchał, ani wiedział i śpiewał bez przerwy:

Usłysz głosy, napełnij myśli człowieka,
Słysz modlitwę, jenże Cię prosimy,
Daj na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt,
Kyrie elejson!

Żołnierze na komendę swych oficerów rozstawieni wszerz, byli już w pogotowiu. Pierwszy szereg przykląkł na jednem kolanie, mierząc lufami do wyznawców. Drugi rząd ziejących luf sterczał ponuro nad pierwszym.

— W imię Najjaśniejszego Pana, po raz trzeci i ostatni wzywam was, rozstąpcie się!

A do żołnierzy:

— Cel! — krzyknął.

Lud śpiewał:

Narodził się dla nas Syn Boży,
W to wierzaj człowiecze zbożny.

Iż przez trud Bóg swój lud
Odjął dyabłu z straży!...

— Pal! zawył Baron.

Zagrzmiał rotowy ogień przeciągle... raz — i ustał. Kilkunastu ludzi runęło! Baron patrzał skwapliwie, czy reszta nie ustąpi.

Rzadsze i słabsze były głosy, które po nad jękiem rannych i dogorywających śpiewały jeszcze:

Śmierć podjął, wspomionął człowieka pierw-
[szego,
Jeszcze trudy cierpiał bezmierne,
Jeszcze był nie przyśpiał za wierne,
Aże sam Bóg zmartwychwstał.

— Pal! — zawył Baron.

I po raz drugi zionęła śmierć z luf dwustu karabinów.

Już dwa głosy tylko, głos męski i głos kobiecy wznosiły się nad dyszeniem konania i warczeniem bólu:

Dla ciebie człowiecze, Bóg dał przekłuć sobie
Bok, ręce, nodze obie,
Krew święta szła z boku, na zbawienie Tobie!...

— Na bagnety! — odezwał się pułkownik.

Tłuszcza żołnierstwa rzuciła się naprzód i rozniosła ostatki niedobitków.

Jak podcięte kłosy, padały szeregi ofiar, same się układając w tragiczne snopy zakłutych ciał. Pośród tych zdrętwiałych owieczek, poddających się na rzeź bez oporu, byli tacy, którzy szałem rozpaczy opętani, bronili się do ostatka, bez najmniejszej nadziei ocalenia.

Chwytali gołemi rękami za ostrza bagnetów, owijali się wkoło napastników jak węże, wytrącając im broń z garści, gryząc, drąc i dławiąc nieprzyjaciela, dopóki zadźgani nie padli z nim pod ciężarem zmarłych druhów, przytłaczających im nogi i walących się na nich kolumn *arriere-gardy*. Byli wreszcie tacy, którzy obłędem strachu zdjęci, ranni czyli cali udali się do ucieczki; zrazu strzałami ścigani, później biorąc dudnienie własnej krwi w tętnach i w uszach za huk pogoni, biegli bez pamięci, kto do chaty (gdzie w konwulsyjnej panice po ciemku, zaryglowawszy drzwi, pod ławą lub w alkierzu szukali schronienia), kto do lasu, kto w pole, kto wprost przed siebie

w świat, dopóki nie odeszły siły lub zaskoczyli obcy ludzie o kilka mil odległości.

Byli inni, którzy śmiertelnie postrzeleni zdołali zbiedz i złożyli kości pod jaką naddrożną burtą lub po prostu na środku gościńca. Jednego pod dalekim znaleziono krzyżem.

Równocześnie co żyło we wsi, zrywało się ku placu boju. Pozostawieni w domu chorzy, kalecy, kobiety, dziady, dzieci z chałup się wysypały, odważniejsi docierając do krwawej mety, inni kryjąc się za płotami i drzewami za węgłem budynku lub na dnie głębokiego rowu, aby śledzić wilczym wzrokiem i wytężonym słuchem ohydny przebieg dopełniającej się ofiary. Były matki, były narzeczone, które nadbiegły na czas, aby paść przy swoich i podzielić ich los. Z dalszych zagród przybiegały równie bohaterskie niewiasty już po dokonanej rzezi, które daremnie śmierci wzywały, przeklinając na głos oprawców i nadstawiając im brzemienne łona do ciosu.

Przed kościołem gradem kul zeszpeconym, sześćdziesiąt trupów leżało bezładną masą; ci twarzami do góry, z bielmem na oczach szeroko otwartych, tamci czo-

łem do ziemi. Martwe ręce oplatały ciała bez duszy; dłoń w dłoni broczył we krwi ojciec z synem, brat z bratem, kum z kumem. Między zwłokami rzucały się w bezwiednej agonii żyjące postacie, wyrywały jęki z rozprutych piersi, bielały chusty kobiet, sterczały niemowlęce rączki, wiły się członki porąbane, syczały usta tężcem bólu skórczone.

— Ślusarza! księdza! — wołał pułkownik rozgorączkowany własnem dziełem i odpowiedzialnością.

Zjawili się ślusarz, kozak z latarnią i pop, na twarzy którego zaciętość walczyła o lepsze z przerażeniem. Kilka uderzeń młotem na żelaznym dłucie, a zardzewiały zamek z hałasem wyleciał z odwiecznych wrót. Po ciepłych trupach przeszli pop i pułkownik, a za nimi żołnierze z czapkami w ręku, znacząc kamienną posadzkę domu Bożego krwawą posoką swych stóp.

Już zapadł zmierzch zupełny, ciemność pokryła potworne czyny ludzkie, a ciche łzawe gwiazdy wystąpiły nad sprofanowaną cerkwią na czystym niebios szafirze. Na zastygłym trupie Rusia, wysuniętym naprzód od zbitego pomostu

ciał, leżał chłopiec żyjący, bosy, w płótno odziany i namiętnie się tulił do zmarłego, całował krzepnące rysy jego, a jasne włosy dziecka mięszały się z siwizną starca.

— Oj dziadku, mój dziadku ty najmilszy, mój dobry, mój słodki, mój święty — zawodził biedak — obiecuję Ci i przysięgam tu, tu przed tym Bogiem i tą Panienką najświętszą w kościele i na tę krew naszą tu niewinnie przelaną, że nigdy, nigdy nie będę perekińcem, nigdy wiary nie zdradzę... nie!

W tej chwili wychodzili z kościoła baron w towarzystwie popa, zostawiwszy liczną wartę w cerkwi, a silny patrol dokoła. Kozacy ściągali z nieboszczyków sukmany, buty i srebrne obrączki ślubne. Ślusarz zmierzał do kuźni z zamkiem kościelnym w ręku, baby z przeraźliwym piskiem i biadaniem odszukiwały swoich blizkich w stosach zabitych i rannych. Biły i drapały sołdatów, którzy dotąd nie dostawszy wódki ani jadła, nie bardzo chwacko wyglądali, a raczej wstydzili się trochę swej roboty. Niektóre niewiasty, za pomocą młodszych chłopaków wynosiły już na płachtach to trupy, to bezwładną zamierającą postać.

Z jakiejś wsi sąsiedniej, gdzie jeszcze nie wiedziano o niczem, przypisując wojskowym manewrom ogień rotowy często na Podlasiu słyszany, jesienna ligawka rozlegała swe smętne tony, rozdzierając na kilka mil dokoła czyste powietrze nocne. Naczelnik potknął się na trupie Sylwucha i na leżącej postaci Wiktora. Chłopak zerwał się jak wściekły, skoczył pułkownikowi do gardła jak kot, a sycząc z bólu i gniewu, pluł mu w oczy:

„Przeklęty!... Przeklęty! Przeklęty!...“ I drobną pięścią uderzył go z całej siły w twarz. Potem puścił, zwinął się w kłębek i przepadł. Baron strzelił, ale noc zasłoniła zarówno i srom i barona i osobę zmykającego chłopca. Jak w cwał przyleciał do Pratolina, tak w cwał powracał do Hunnej, biedny krwią zbryzgany wyrostek; wracał sam jeden z widmami w oczach i dreszczami w kościach, do osieroconej wsi, rodziny, chałupy, na progu której nazajutrz rano znalazła go zemdlonego matka.

Z parku dworskiego w Pratolinie o jakie dwieście kroków od pobojowiska wyszedł młody człowiek. Dziedzic. Stanął pod starą lipą nieopodal cerkwi i patrzał

długo na plac dokonanej zbrodni. „Mój Boże, mój Boże — biadał — jaki straszny świat twój.

W zdobytej plebanii pułkownik posępnie leżał ubrany na łóżku, nie mogąc usnąć i układając w myśli kłamliwy protokół do raportu. W izbie obok popi i oficerowie, nad wódką półgłosem rozprawiali. W cerkwi dogasały latarnie, kozacy usypiali, kto pod ścianą, kto na progu, kto na dworze, niedaleko trupów. Sprytniejsi trafili do karczmy; regularne wojsko koczowało na łące. A wiatraki i krzyże podlaskie sterczały po zastygłych błotach i bagnach, po łanach i rozdrożach. We wsi pies wył przeciągie, bity odchodził dalej i z pyskiem wzniesionym do góry, zdawał się wołać o pomoc nie do ludzi, ale do Stwórcy tych ludzi... Kobieta, która pod strzałami ostatnia śpiewała pieśń Bogarodzicy, przy boku nieżywego męża, tknięta nagłem pomięszaniem zmysłów, wcale też śpiewać nie przestała, ani się z miejsca nie ruszyła, lecz huśtając się łagodnie nad sztywnemi członkami małżonka, wtórowała ligawce dalekiej i psu we wsi zawodzącemu:

Wierz-że w to człowiecze, iż Jezus Chrystus
[prawy,
Cierpiał za nas rany,
Swą świętą krew przelał za nas chrześciany,
Maryja Dziewica, proś Syna Swego,
Króla Niebieskiego,
Aby nas uchował od wszego złego. Amen!

. . . .
. . . .

Dwadzieścia lat minęło — nic się nie zmieniło.

Kobieta była młoda i piękna, dziś stara i przerażenie budząca. Jak duch pokutujący czy błagalny nieszczęśliwej Unii, chodzi ona po mrozie i skwarze, po drogach i miedzach Podlasia, po wsiach i miasteczkach, po chałupach, dworach i urzędach, o żebranym chlebie, w obdartych łachmanach; oczy jej szklane, nie widzą nic przed sobą ani w sobie, prócz jednego obrazu... Pratolińskiej krzywdy!... I śpiewa bezkarnie wobec rosyjskich władców, śpiewa rozdzierająco wobec bezbronnej braci, ach! śpiewa może nie bezowocnie, choć my owocu tego nie

widzimy wobec Boga uwięzionego w schizmatyzowanej cerkwi:

Bogarodzico Dziewico
Bogiem sławiona Maryjo!
Proś Syna Swego!
Króla Niebieskiego!
Aby nas uchował od złego! Amen.

(Koniec części pierwszej.)

Tab. 1